Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 5. Czerwca 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 23.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

POETA I ŚWIAT

PRZEPISAŁ ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU
BOLESŁAW PRUS

(Dokończenie).

Przez całą niedzielę byłem poekscytowany; zdawało mi się, że noc nie nadejdzie nigdy. O dziewiątej ubrałem się, a w parę godzin później byłem na sali redutowej. Przy mocnem oświetleniu moje rękawiczki nie wyglądały dość świeżo. Prócz tego frak pił mnie pod pachą a cylinder był trochę zmięty. Gdym jednak spojrzał w lustro, przekonałem się, że braki garderoby wynagradza wyraz mojej fizjognomji. Na bladej twarzy rozlewała się łagodna melancholja, spotęgowana gąszczem jasnych włosów, odrzuconych na tył głowy. Zdaje mi się, że moje oczy spoglądały w tym tłumie najrozumniej, a w ruchach uwydatniała się — szlachetna niedbałość. Nie chcę sobie pochlebiać, myślę jednak, że zwracałem uwagę. Niektóre maski poufale uderzały mnie wachlarzami i niejednokrotnie słyszałem wykrzykniki:

— Patrz! patrz!... jak *ten* wygląda...

Nie przypisuję tego sobie, ale — duchowi poezji, który mnie napełniał. Oczekiwanie, słodki niepokój, pragnienie idealnej miłości, wszystko nastroiło mnie na ton najwyższy. Czułem, że gdyby władza policyjna pozwoliła mi odezwać się z improwizacją, zapanowałbym nad tłumami.

Około pierwszej mój niepokój dosięgnął zenitu. Pod orkiestrą umieściło się kilkanaście par tańczujących, zrobił się ścisk, zepchnięto mnie ze stanowiska. Prawie straciłem nadzieję spotkania się ze *sfinksem*, gdy wtem... Eleganckie domino obtarło się o moje ramię w sposób bardzo znaczący.

Tknęło mnie przeczucie. Byłem pewny, że to *ona*.

— Pani! — szepnąłem.

Odwróciła się, spojrzała mi w oczy pytając, ale — milczała.

Widać, że nie zna mnie dobrze, pomyślałem i nie śmie zaczepić.

Czułem, że jest moim obowiązkiem ułatwić jej pierwszy krok.

— Pani! — rzekłem — jestem Fryderyk Juljusz...

— A cóż mnie to obchodzi! — odpowiedziało domino wyniośle. Potem, zwróciwszy się do stojącego niedaleko mężczyzny, rzekło:

— Nigdy nie słyszałam, ażeby kto intrygował maski!

Mężczyzna postąpił ku mnie z miną impertynencką. Byłem zdecydowany, za lada przykry wyraz, żądać satysfakcji.

Nagle przypomniałem sobie, że nie mam biletów wizytowych. Nie słuchając zatem mruczeń gbura, cofnąłem się między tłum.

Obszedłem wszystkie sale, noga za nogą, w jednym i w drugim kierunku; przypatrywałem się wszystkim maskom i nikt mnie nie zaczepił. Opanował mnie rozstrój nerwowy: światło kłuło w oczy, każdy takt muzyki uderzał jak sztylet. Myślałem, że uduszę się w tłumie i zniechęcony, kilka razy zabierałem się do wyjścia, sądząc, żem padł ofiarą mistyfikacji.

Dopiero około godziny trzeciej zetknąłem się z dwiema maskami, z których jedna, szepnąwszy coś do ucha towarzyszce, wzięła mnie pod rękę.

Była ubrana w obszerny płaszcz jedwabny, a na głowie miała koronkową chustkę.

Z całej jej postaci widziałem tylko oczy.

— Dlaczego tak późno? — odezwała się głosem sztucznie stłumionym, opierając mi się na ramieniu. — Od dwu godzin szukam...

Zejdźmy na bok.

Uczułem woń konwalji, przypomniałem sobie, że tak samo pachniał list *sfinksa*. Milcząc z nadmiaru wzruszenia, uścisnąłem ją za rękę.

Maska poruszyła się.

— Pan wiesz, kto jestem? — zapytała spokojnie.

— Domyślam się — odpowiedziałem, dobrze wiedząc, że jest to mój *sfinks*.

— Domyślasz się pan? I przyszedłeś?...

— Właśnie dla tego przyszedłem.

Na kanapce było wolne miejsce. Usiedliśmy tam, a mój *sfinks* mówił:

— Chciałam pana bardzo, ale to bardzo zaintrygować, ale naprzód — spóźniłeś się, a teraz — odkryłeś moje *incognito*...

Nie mogłem powstrzymać westchnienia. Opanowała mnie jakaś luba rzewność...

— Złośliwy dowcip opuścił mnie — ciągnęła dalej. — Jestem tak zawstydzona, że zapewne nic panu nie powiem. A tyle miałam do powiedzenia!... Niechże mi pan doda odwagi...

— Ja sam przyszedłem tu, w nadziei, że do dalszych zapasów z życiem u pani zaczerpnę odwagi.

— U mnie? — odpowiedziała zdziwiona. — Każde z nas walczy i każde szuka podpory, którą chyba znaleść byśmy mogli w...

Zawahała się.

— W czem?... dokończ pani!...

— We wzajemnych życzliwych stosunkach.

— Tylko?...

— O czem innem nie marzę nawet — szepnęła.

— Ale mnie pozwoli pani marzyć? — spytałem, ściskając ją mocno za rękę.

— Ani ja, ani nikt nie ma prawa rozkazywać panu, albo zabraniać. Jesteś

pełnoletni, a twoje doświadczenie i genjusz robią cię mężem dojrzałym.

— Mój genjusz! — powtórzyłem za nią, wybuchając ironicznym śmiechem.

— Nie śmiej się pan, zabraniam panu!... Nie godzi się żartować z tego, co dla mnie jest wiarą i świętością.

Znowu ścisnąłem ją za rękę i od tej chwili już nie puściłem. Sala redutowa znikła mi z oczu, tonąłem w zachwycie.

— Niechże mi pani przynajmniej powie, jak się to stało, żem potrafił zyskać jej sympatję? — szepnąłem najsłodszym głosem.

— Nie mów pan o tem, bo się spalę ze wstydu pod maską. Zdaje mi się, że cały świat patrzy na nas.

— A ja błagam panią, ażebyśmy mówili tylko o tem!...

Była do mnie lekko przytulona; czułem, że drży.

— Bóg jeden to wie — szeptała — jakim sposobem roznieca się w sercu — przyjaźń...

— Tylko przyjaźń?...

— Szczera przyjaźń — poprawiła się.

— Tylko szczera przyjaźń?...

— Nie bądź-że pan okrutnym! — odparła. — Nie ja powinnam robić wyznania i określać uczucia. Mówimy z sobą ledwie kwadrans, a już chciałbyś pan usłyszyć to, na co inni czekają lata. Tylko poecie wolno być tak niecierpliwym.

— Aniele! — szepnąłem.

— Niech mnie pan nie nazywa aniołem. Jestem tylko kobietą, która umie uczcić iskrę bożą...

— Cześć!... przyjaźń! — przerwałem niecierpliwie.—Pani mnie zabija konwencjonalnemi wyrazami.

— Jesteś pan niesprawiedliwy — odparła coraz bardziej wzruszona. — Co panu zależy na wyrazach tam, gdzie czyny mówią? Czy nie jest to dziwne, że ja, która przysięgłam nienawiść całemu rodzajowi męzkiemu, dla pana zrobiłam wyjątek?... Czy należało mi pisać list, naznaczać schadzkę, a nareszcie w tej chwili, powierzać panu najskrytsze tajemnice, zamiast go złośliwie intrygować?... A pan pomimo to skarzysz się na konwencjonalne wyrazy?...

— O *sfinksie*, chciałbym ci upaść do nóg! — szepnąłem.

Ona umilkła, a potem rzekła jakby do siebie:

— Boże! Boże!... tyle szczęścia... I czem na to zasłużyłam?

Teraz przeszło około nas domino, z którem rozłączyliśmy się na środku sali.

—Muszę iść—rzekła moja towarzyszka.

Czas przeleciał mi, jak mgnienie oka. Mam do pana żal, żeś się spóźnił, ale już nie gniewam się. Te kilka minut zamknęły w sobie więcej aniżeli całe godziny. Jestem zupełnie szczęśliwa, tak szczęśliwa, że aż się lękam...

Powstała, ściskając mnie za rękę.

— W każdym innym razie prosiłabym, ażebyś mnie odprowadził...

— Ależ zrobię to z największą rozkoszą...

— Nie!... dziękuję... Po tem co zaszło między nami, muszę być ostrożna, nawet względem siebie samej...

— Bóstwo moje! — szepnąłem. — Życie ci oddam...

— Pomówimy o tem kiedyindziej. Dobranoc! — rzekła.

— Jeszcze chwilkę... Gdzie i kiedy zobaczymy się, ażeby porozmawiać tak szczerze jak dziś?

Zamyśliła się, a potem odpowiedziała prędko:

— Kiedy przyjdę do *cioci*, z kwiatem we włosach, to znak, że wieczór będę u siebie. Dobranoc!

Pobiegła do swojej przyjaciółki, a ja upadłem na kanapkę, jak gdyby piorun we mnie trzasł.

— Co ona powiedziała o *cioci?*... U jakiej u djabła *cioci* ona bywa?

Co się ze mną dzieje... czy ja rozum straciłem... Miałażby to być *ona?*...

Chyba że tak. Mówiła coś — o odprowadzeniu jej do domu, o *cioci*... Słowo honoru daję, że ona myślała, żem ją poznał pod maską i że się w niej oddawna kocham. Jezu Marja!...

Jak szalony wpadłem do kontramarkarni, schwyciłem palto, i nie zapiąwszy się, popędziłem do domu.

Ledwiem rozbudził zaspanego stróża, który przez całą wieczność wkładał klucz w zamek. W chwili gdy otworzył bramę, zajechała przed dom dorożka.

Z bijącem sercem zatrzymałem się na pierwszem piętrze. W sieni rozmawiały i chichotały dwie kobiety.

— Dobranoc Heluniu!...

— Przyjemnych marzeń Łusiu!...

— Wolę rzeczywistość!...

Ta, która powiedziała, że: woli rzeczywistość, była to czterdziestoletnia panna Łucja, nasza sąsiadka, z czerwoną skórą na twarzy i na szyi. To był *sfinks* z maskarady!

W sieni żegnając się z przyjaciółką, nie zmieniała już głosu. Jutro pokaże mi się bez maski i może zechce ażebym jej na prawdę padł do nóg?

Niechaj piekło pożre woniejące anonimy i maskarady, na których lada koczkodan udaje piękną kobietę.

Poczciwa ciotka nie spała i natychmiast otworzyła mi drzwi. Gdyby nie to, pewnie wpadłbym w szpony lubej Łusi, której ciężki chód i sapanie słyszałem już na drugiem piętrze.

Rozebrałem się natychmiast, alem nie mógł zasnąć. Dostałem kataru i gorączki i do białego dnia majaczyło mi się, że Łusia trzyma mnie w objęciach. Prawdziwy cud, żem z tych strasznych marzeń nie dostał tyfusu.

Katar był silny, więc ciotka prosiła mnie, ażebym przez parę dni nie wychodził z domu. Około południa odesłałem balowy garnitur krawcowi, ubrałem się w szlafrok i zamknąłem się w drugim pokoiku. W pierwszym ciotka wykończała na maszynie pilną robotę.

Po południu usłyszałem przez drzwi głos panny Łucji. Mówię bez przesady, że mi włosy powstały na głowie.

— Podobno pan Juliusz jest chory? — zapytała ta piękność.

— Ma katar — odparła ciotka.

— Doskonałem lekarstwem na katar jest kwiat lipowy. Jeżeli pani pozwoli, to ugotuję wody na maszynie i zaparzę kwiatu lipowego — mówił zdemaskowany sfinks.

— Bardzo będę ci wdzięczna za to, moja panno Łucjo — rzekła ciotka.

— Trzeba także zrobić *kogel-mogel*. Pani ma jajka?

— Nie mam, droga panno Łucjo.

— To ja pani pożyczę i sama ubiję żółtka z cukrem, bo pani nie ma czasu.

— Jakaś ty poczciwa, panno Łucjo — odpowiedziała ciotka.

Spotniałem tak, jak gdybym już zjadł *kogel-mogel* i wypił wszystek kwiat lipowy.

Po tej rozmowie mój sfinks zginął na godzinę, a ciotka wciąż szyła. Wreszcie, skończywszy robotę, powiedziała mi, że musi odnieść ją do składu.

— Panna Łucja — dodała ciotka — przyniesie ci kwiat lipowy. Wypijże go i spoć się. Poczciwa dziewczyna!...

Ledwie ciotka wyszła, usłyszałem na korytarzu ciężkie dreptanie mego sfinksa. Otworzyły się drzwi w pierwszym pokoju, potem w moim... Na progu stanęła panna Łucja z dużym kubkiem i ze szklanką pełną rozbitych żółtek.

— Dzień dobry, panie Juljuszu!— zawołała. Przyniosłam panu coś, coś bardzo dobrego i dam, jeżeli pan będzie grzeczny...

Chciałem być w tej chwili wściekłym tygrysem ale — nie wypadało. Nie mogłem jednak zapanować nad smutkiem.

Panna Łucja przestraszyła się.

— O Boże! pan musi być bardzo chory? — pytała. — Pan powinien się położyć... Niech-no pan wypije to lekarstwo... Mogę zobaczyć, czy pan nie ma gorączki?...

Z temi słowy dotknęła mi ręką czoła.

— Głowa nie gorąca — mówiła dalej.

— To nic, to przejdzie, byle się pan nie zaziębił. Od tej pory nie powinien pan *nigdy* chodzić na maskaradę...

— Już nie pójdę! — odparłem.

Panna Łucja zdawała się być zdziwioną. Przez chwilę milczała, potem szepnęła pieszczotliwie:

— Czy pan gniewa się? Może na mnie?...

W jej lnianych włosach zobaczyłem kwiat, a w spojrzeniu — tak poufałą tkliwość, żem ścisnął pięści i zamknął oczy.

— Czy na mnie nie chce pan patrzeć?... Odejdę, jeżeli tak...

— O nie pani! — zawołałem z pośpiechem — ale mam taką migrenę, że mi ledwie głowa nie pęknie.

— To przejdzie... przejdzie... Postaramy się, ażeby pan jaknajprędzej odzyskał zdrowie i dobry humor. Tymczasem może— może pan kaprysić, chorym wolno.

Wszystko mówiła takim tonem, jakbym był jej zdeklarowanym kochankiem.

Widocznie panna Łucja traktuje mnie już jak swoją własność!... Nie śmiałem oponować, nie wiedziałem w jaki sposób wybrnę z matni, a z drugiej strony czułem, że nie mogę ani słuchać, ani patrzeć na

tę kobietę, którą pod maską nazwałem: aniołem.

Od tej pory codzień po parę razy spotykaliśmy się z panną Łucją. Ja byłem zakłopotany i zimny, a ona — zdumiona.

Czasami wpatrywała się we mnie, z trudnością hamując łzy. Z początku — pytała: co mi jest?... dlaczegom smutny?... Potem przestała się pytać, ale zaczęła mizernieć, tak, że (może mi się zdaje!) aż jej skóra na policzkach obwisła.

W końcu doszło do tego, że ciotka poczęła mnie wypytywać: co znaczą miny panny Łucji? a ja — na całe dnie wychodziłem z domu.

Czytałem kiedyś, że ptak pod wzrokiem grzechotnika traci zdolność ruchu. Otóż jest rzeczą niezawodną, że ja, pod spojrzeniem panny Łucji, straciłem zdolności poetyckie. Co więcej — tylem się od niej nasłuchał o poezji, że nawet zbrzydł mi ten wyraz.

Nareszcie gdy pewnego dnia ciotka doniosła mi z płaczem, że na opłacenie komornego musi zaciągnąć dług i gdy panna Łucja robiła się coraz mizerniejszą — zdecydowałem się.

Poszedłem do mego dawnego opiekuna i za jego protekcją — dostałem miejsce dependenta. Mam na początek siedm rubli pensji miesięcznej i życie, a nadewszystko — mieszkanie przy kancelarji. Gdyby nie ta okoliczność, pewnie codzień widywałbym pannę Łucję i chybabym powiesił się z rozpaczy.

* * *

Drugiej nocy po sprowadzeniu się do adwokata, wyglądając z okna kancelarji, zobaczyłem spadającą gwiazdę. Przez kilka sekund biegła w górę pięknym łukiem — potem zaczęła nagle spadać i zgasła.

Czyżby tak zgasło moje natchnienie?...

W tydzień później spostrzegłem między interesantami (którzy przyszli po poradę prawną) kobietę uderzającej piękności. Schylony nad biórkiem pisałem, a ile razy podniosłem oczy, przekonałem się, że ona — patrzy na mnie.

Jest to młoda wdowa. Przepisuję jej dokumenta i już parę razy byłem w jej domu z poleceniami adwokata. Ona spogląda na mnie coraz przychylniej, a ja czuję, że w mojej duszy budzi się znów talent. Napisałem nawet wiersz: *Tęsknota* i miejską pocztą wysłałem do jednego z pism. Teraz z biciem serca czekam na nowe spotkanie z moim ideałem i na odpowiedź od redakcji...

* * *

Już późno, a tak pragnąłbym dzisiaj zasnąć, bo jutro muszę wstać rano.

Ileż cię razy dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem...

A — ach!...

A ty... (a-ha-ha!) smutniejsza niż
ludzie smutni

Za nowem...

. . . .

KONIEC.

Tajemnicza historja

SZKIC JANA SCHERRA.

(Dokończenie)

Jeżeli już przypuścimy, że zamiana i uprowadzenie księcia w rzeczywistości dokonanem zostało, zasadnie zapytać można, dokąd udał się tenże i co się z nim stało? Delfin Francji, w którym od dnia 21. stycznia 1793 roku monarchiści francuscy prawego swego mieli króla, nie mógł zniknąć bez śladu, zapaść się, że tak powiemy, w ziemię. Opowiadanie, jakoby chłopczyk znajdował się w obozie księcia Condé, było niczem innem, jak tylko prostym wymysłem. Aczkolwiek Condé nie był człowiekiem o wysokich zdolnościach, był jednak w swoim rodzaju uczciwym, który nie wyrzekłby się prawego swego króla. Dlatego też zasadnie twierdzić można, iż nietylko Delfin nie znajdował się przy nim, lecz Condé uwierzył nawet wieści, którą udzielił mu rząd Rzeczypospolitej o śmierci tegoż, czego dowodzi zresztą wydany przezeń rozkaz dzienny, który kończył się następującemi słowy: „Król Ludwik XVII umarł, niech żyje Ludwik XVIII“. Wszystkie, co prawda osoby, które starały się przekonać ogół, iż były rzeczywiście Delfinem, układały każda całą Odysseję, t. j. opowiadały o przygodach, i nieszczęściach, które ich spotkały po ucieczce z więzienia w Temple. Opowiadania ich jednak nie stanowią materjału historycznego, ale posłużyć mogą raczej za temat do romansu w rodzaju Monte Christo. Że jednak ludzie wierzą tego rodzaju bezsensowym opowieściom dla tego właśnie, że pozbawione są one sensu, uwierzyli więc i następującej bajce, zrodzonej w wyobraźni jakiegoś zaciekłego monarchisty. Uprowadzenie Delfina z Temple dokonanem zostało, według niego, przed 8 termidora, czyli wówczas, gdy na czyn tego rodzaju odważyć się mógł jeden Robespierre, Przyprowadziwszy do więzienia innego chłopca, Robespierre pozostawił go na miejscu Delfina, którego uprowadził, zabił, jednem słowem, zgładził ze świata, dlatego, że tenże przeszkadzał mu wstąpić na tron Francji, który posiąść zamierzał za pomocą małżeństwa z uwięzioną siostrą Delfina, księżniczką Marją Teresą, później księżną d'Angouleme. Brakowało widocznie tej bajki jeszcze do tego, aby ostatecznie przedstawić Robespierra za potwora.

Większość widzi, w samej rzeczy, w człowieku tym olbrzymiego kozła ofiarnego rewolucji; nie zna ona i nie pojmuje praw wszechświatowego historycznego procesu i niezdolna jest do objęcia całego olbrzymiego przewrotu i wyjaśnić sobie czyny, spowodowane przez pewną przyczynę.

Pozostawiając na stronie dziedzinę domysłów, przypuszczeń i pozbawionych sensu opowieści, dla wyświetlenia poruszonej kwestji, przeniesiemy się obecnie na grut bardziej pewny.

Kiedy szewc Simon, jak to powiedzieliśmy już wyżej, opuścił Temple, Delfin w ciągu sześciu miesięcy pozostawał bez nadzoru, jedynie komisarze komuny zjawiali się doń codzień. Zresztą położenie biednego dziecka pogorszyło się znacznie, zaczęto obchodzić się z nim gorzej, niż Simon i jego żona. Liczono prawdopodobnie na to: jeżeli to Delfin rzeczywisty — w takim razie miano zamiar zamorzyć go powolną śmiercią; gdyby zaś było to dziecko zamienione, chciano je doprowadzić do zupełnego idjotyzmu, żeby nie był wstanie wyjawić całej prawdy, i zatrzeć tym sposobem wszystkie ślady zmiany. Dziecię pomieścili w dolnem piętrze wieży Temple w ciemnej izdebce, żeby nikogo nie mogło widzieć. Pokarm podawano mu przez zakratowane okienko we drzwiach; zabroniono mo przechadzać się po ogrodzie więzienia a nawet po platformie wieży, z uwięzioną siostrą nie pozwolono mu nawet spotykać się. Tym sposobem skazano go na żywot odosobniony w ciasnej celi, która i dniem i nocą pogrążoną była w ciemności.

Byłoż to wynikiem obawy komitetu rewolucyjnego o to, żeby rojaliści nie wykradli drogocennego zakładnika, czy też miało na celu usunięcie dziecka od towarzystwa znajomych mu osób?

Dopiero 11 termidora (sierpnia) 1794 roku biedne dziecko oddano pod opiekę stróża, kreola Loransa, zaś 13. termidora odwiedziło maleńkiego Delfina kilku członków komitetu ocalenia publicznego.

Gdy weszli do celi Delfina, ujrzeli przed sobą dziewięcioletnie dziecko, leżące nieruchomo na brudnem posłaniu, szczupłe, ze skrzywioną szyją, mające ręce i nogi nieproporcjonalnej do ciała wielkości. Dziecię nie było widocznie gluchem, ale raczej niemem, gdyż członkowie komitetu nie byli wstanie wydobyć zeń ani słowa. W listopadzie 1794 roku przydano kreolowi Lorans pomocnika w osobie obywatela Gaumain, który nie widział nigdy prawdziwego Delfina. W dniu 28. grudnia Lequiniot postawił wniosek, aby uwięzionego Delfina wydalić po za granice Francji i oczyścić w ten sposób wolną ziemię od ostatnich śladów rojalizmu. Cambaceres zaprotestował przeciwko temu, wskutek czego wniosek został odrzuconym i konwent postanowił pozostawić nieszczęśliwe dziecko w więzieniu.

Tymczasem choroba chłopczyka przybrała bardziej groźne rozmiary, i komitet obrony narodowej, na skutek odezwy stróża więzienia, wysłał dla zbadania stanu zdrowa Delfina trzech swoich członków: Harmana, Mathie'go i Reverchon'a. Zastali go siedzącego na stole i bawiącego się w karty. Po wejściu ich dziecię nie przestało się bawić. Harman starał się wytłómaczyć Delfinowi cel swych odwiedzin i powiedział, że otrzymali oni polecenie polepszyć położenie jego i dostarczyć wszelkiego rodzaju rozrywek.

Dziecię spojrzało ciekawie na Harmana, nie odpowiedziało jednak ani słowa; nie wydało nawet ani jednego dźwięku. Wówczas Harman rzekł doń znowu: „Polecono mi zapytać pana, monsieur, czy nie pragniesz jakiej zabawki; czy nie życzysz sobie mieć towarzysza zabaw? Czy nie chciałbyś pospacerować po ogrodzie, lub wyjść na platformę wieży, czy nie życzysz sobie, aby ci przyniesiono cukierków, ciastek?“ Na wszystkie te pytania nie było odpowiedzi. Harman starał się później grozić, starał się dać mu do zrozumienia, że upór jego nie pozwala mu złożyć rządowi sprawozdania o jego stanie, wszystko to jednak naprόżno, gdyż chłopczyk nie odpowiadał ani słowa i wyciągnął jedynie do Harmana wynędzniałą swą rękę.

Sprawozdanie przedstawione przez obywatela Harmana komitetowi obrony narodowej, nie zostało opublikowanem i nie pociągnęło za sobą żadnych skutków dla dziecka. Położenie jego nie uległo żadnej zmianie. Harman dał widocznie do zrozumienia, że słabowitego chłopczyka nie uważa za rzeczywistego Delfina, który,

jak wiadomo, był chłopcem zdrowym, wysmukłym i dobrze rozwiniętym i nieostrożność swą posunął tak daleko, że oświadczył członkom komitetu, że w tem wszystkiem kryje się jakaś tajemnica, którą wyjaśnić wypada. Godnem jest uwagi, że wskutek tego wydalono Harmana z łona komitetu i dano mu posadę komisarza rzeczypospolitej w Wschodnich Indjach.

W początkach maja 1795 roku, choroba uwięzionego dziecka takie przybrała rozmiary, iż rząd postanowił posłać mu lekarza. Jeżeli przypuścimy, iż chory więzień nie był Delfinem, to ludzie wtajemniczeni w to, postąpili nader nieuważnie, wysławszy do maleńkiego pacjenta lekarza, który znał rzeczywistego Delfina. Lekarzem tym był slynny Desaut z Hôtel-Dieu; na mocy instrukcji, danej mu przez komitet obrony narodowej, otrzymał on prawo badania Delfina, jedynie w obecności strożów więziennych.

W tymże czasie wyznaczył komitet niejakiego Gues, byłego kamerdynera Ludwika XVI, dla opieki nad chorym Delfinem. Czyż „ludzie termidora“ nie obawiali się posyłać lekarza do uwięzionego a znanego mu poprzednio człowieka.

Desaut odwiedził chorego chłopca po raz pierwszy w dniu 6. maja. Nie był on w stanie zniewolić go do przemówienia, aczkolwiek niektórzy pisarze rojalistyczni, pragnący dowieść koniecznie, iż Delfin umarł w Temple, twierdzą, że Desaut łagodnem obchodzeniem się umiał nakłonić chorego do rozmowy. W nocy z 29. na 30. maja Desaut zasłabł nagle po kolacji u członków konwentu, 1. czerwca zaś umarł. Po Paryżu krążyły wieści, iż Desaut otrutym został, gdyż nie chciał się zgodzić na otrucie małego więźnia; nie miały one jednak żadnej podstawy. Wszelako rzecz cała inaczej się przedstawia, jeżeli przypuścimy, iż Desaut usuniętym został przez ludzi posiadających klucz do tajemnicy z Temple i którzy podejrzywali, że lekarz nie uważał chorego dziecka za rzeczywistego Delfina.

Tego rodzaju przypuszczenie opiera się na dość ważnych dowodach. Uczeń Desaut'a, Abel, w ciągu całego swego życia twierdził uporczywie, iż nauczyciel jego otrutym został, z powodu podanej do komitetu denuncjacji, że chłopczyk uwięziony w Temple nie jest Delfinem. Jules Favre, w swej mowie obrończej w 1851 roku przytaczał świadectwo innego ucznia Desaut'a, który stwierdzał w zupełności zeznania Abela.

Śledztwo sądowe z powodu nagłej śmierci widocznie wytoczonem nie zostało, sam jednak wypadek dużo narobił hałasu, i pani Desaut otwarcie twierdziła, iż mąż jej otrutym został. Czy konwent pragnął zamknąć jej usta wyznaczywszy jej 2,000 liwrów rocznej pensji? Zasługuje przytem na uwagę i ta okoliczność, iż rezultat obdukcji lekarskiej Desaut'a, wbrew przyjętemu zwyczajowi, opublikowany nie został. Spis rzeczy 263 numeru gazety *Moniteur* z 1795 roku poucza nas, iż relacja doktora w tymże numerze pomieszczona została; było to jednak wierutnem kłamstwem i sprawozdania tego w gazecie nie ma i nigdy nie było.

W tydzień po śmierci Desaut'a umarł nagle przyjaciel jego, aptekarz Tocard, który dostarczał lekarstw dla chorego dziecka.

Dnia 5. lipca komitet obrony narodowej wyznaczył małemu więźniowi innego lekarza, doktora Pelletan, który prosił, aby dodano mu do pomocy doktora Dumangenc'a, a potem jeszcze doktorów Lassuce'a i Jenurua. Należy przypuścić, iż Pelletan nie chciał narażać się na niebezpieczeństwo, które zgubiło kolegę jego Desaut'a. Zresztą żaden z tych lekarzy nie znał rzeczywistego Delfina. Stróż więzienia uprzedził Pelletana i Dumangenc'a, że chory nie mówi, gdy więc lekarze nie mogli otrzymać odpowiedzi na zadawane mu pytania, przestali zupełnie z więźniem rozmawiać.

Dnia 8. lipca umarło dziecko uwięzione w Temple. Gdyby chłopczyk był rzeczywistym Delfinem, rząd nie omieszkałby przedsięwziąć wszelkich środków, celem usunięcia wszelkich podejrzeń co do osoby więźnia. W rzeczywistości jednak postąpił najzupełniej inaczej.

Dnia 9. lipca obywatel Serestre w imieniu komitetu obrony narodowej obwieścił w zwięzłych i oziębłych słowach, iż „Syn Kapeta“ umarł w więzieniu Temple. Tegoż dnia doktor Pelletan wraz z trzema towarzyszami obejrzeli trupa i sporządzili protokół, głoszący dosłownie co następuje: „Przybywszy o godzinie 11 rano do wrót Temple, przyjęci zostaliśmy przez komisarzy i wprowadzeni do wieży. W pokoju na drugiem piętrze, na łóżku, znaleźliśmy trup dziecka mającego około lat dziesięciu. Komisarze oświadczyli nam, iż jest to trup syna zmarłego Ludwika Kapeta, ja zaś i towarzysz mój, poznaliśmy w dziecku tem chłopczyka, któremu niedawno przedtem udzielaliśmy pomocy lekarskiej.“ Nie dowodzi to jednak bynajmniej identyczności zmarłego chłopczyka z synem Ludwika XVI. W protokule tym najbardziej zasługuje na uwagę relacja obdukcji, pouczająca nas, że mózg zmarłego dziecka znaleziony został w stanie zdrowym i normalnym. Okoliczność ta byłaby niemożebną, gdyby zmarły był rzeczywiście Delfinem, gdyż, według świadectw wiarogodnych, występny Simon i żona jego, surowem swem obchodzeniem się z Delfinem, doprowadzili go do zupełnego niemal idjotyzmu, rezultatem czego było niechybnie uszkodzenie mózgu.

Wieczorem 10. lipca trup chłopczyka pochowany został bez wszelkich ceremonji na cmentarzu św. Małgorzaty. Dopiero w cztery dni po poprzebie ogłoszono wiadomość o śmierci dziecka, lecz w tak nieprawidłowej formie, iż dokument ten w żadnym razie za dowód posłużyć nie może.

Dla rodziny jednak Burbonów Ludwik XVII umarł jak najformalniej. Siostra jego starała się usilnie usunąć wszelki zamiar dowiedzenia się, iż w Temple umarł nie rzeczywisty, ale mniemany Delfin. W roku 1820, niejaki Paronne, znajdujący się w Temple, po pomieszczeniu w więzieniu tem rodziny Ludwika XVI, ofiarował się dostarczyć kilka szczegółów, tyczących się uprowadzenia Delfina. Człowiek ten, po otrzymaniu kilku wizyt pewnej wysoko postawionej osobistości, zniknął nagle, tak, iż śladu nawet po nim nie zostało. Godną uwagi jest ta okoliczność, iż po restauracji rodzina królewska okazała niezwykłą oziębłość dla zwłok i pamięci Ludwika XVII. W r. 1815. odegrano prawdziwą komedję: wydobyto zwłoki Ludwika XVI i jego żony. Arcy-fantastyk Chateaubriand, chorujący na gorączkę romantyczną, napisał z tego powodu, iż głowę Marji Antoniny rozpoznali po pełnym gracji uśmiechu, który był charakterystyczną cechą zmarłej królowej, i pomysł ten zachwycił Francuzów. Romantyczna farsa wydobycia zwłok, gdyż inaczej ceremonji tej nazwać nie można — albowiem w gruncie rzeczy nie odnaleziono wcale rzeczywistych zwłok króla i królowej — podała myśl proboszczowi przy kościele Ś-tej Małgorzaty, Lemercier, odszukania zwłok Delfina. Twierdził on, iż grabarze pomieścili trumnę księcia w dole ogólnym, ale zrobili na niej znak kredą a następnej nocy wyjęli ją z ogólnej mogiły i pogrzebali u wrót cmentarnych.

Ksiądz zwrócił się do księżnej d'Angoulême z prośbą o pomoc, mając nadzieję, że prośbie tej zadosyćuczyni z pewnością, bardzo się jednak omylił: księżna pomocy wszelkiej odmówiła. Księżna ta, która według słów Napoleona, była „jedynym mężczyzną w rodzinie“, nie była kobietą sentymentalną i być nią nie mogła. Cierpienia, które przenieść zmuszoną była w młodości, zamieniły serce jej w kamień. W samej rzeczy podczas restauracji wykazała ona zupełny brak wszelkich uczuć, na dowód czego przytoczyć mogę pewien może nawet wcale nieznany fakt. Dnia 11. sierpnia 1792 r. rodzina królewska, która schroniła się do sali posiedzeń zebrania narodowego, ujrzała się nagle pozbawioną wszelkich środków do egzystencji. Pokojówka królowej, Ogier, dowiedziawszy się o tem, dostarczyła natychmiast rodzinie królewskiej 25 luidorów, które wzięła z własnych oszczędności.

O tym czynie szlachetnym mówiono później w trybunale rewolucyjnym, podczas procesu królowej. Zapytana, kto dał jej dwadzieścia pięć luidorów, Marja Antonina wskazała na Ogier. Natychmiast polecono aresztować biedną kobietę, t. j. skazać ją na karę śmierci. Kiedy siepacze przybyli do mieszkania, nieszczęśliwa rzuciła się przez okno i zabiła się na miejscu. W następstwie jedna z jej córek wyszła za marszałka Ney'a. Kiedy ten ostatni, po drugiej restauracji, oddany został pod sąd i skazany na karę śmierci, księżna d'Angoulême nie była w stanie pokonać nienawiści swej, ażeby prosić o łaskę dla męża kobiety, której matka poświęciła życie swe za jej własną matkę.

Księżna odmówiła prośbie proboszcza św. Małgorzaty, wymawiając się tem, że położenie królów jest strasznem, gdyż nie powinni i nie mogą robić wszystkiego, coby chcieli. Ale w tym właśnie czasie Burboni postępowali tak, jak chcieli, i odznaczali się najbardziej bezsensownemi czynami, do których podnosiła ich partja reakcyjna. W samej rzeczy dwór nie chciał ani słyszeć nietylko o Delfinie, ale nawet o zwłokach jego i uporczywie stawiał przeszkody każdemu zamiarowi zbadania zagadkowych okoliczności, które otaczały życie i śmierć księcia w więzieniu Temple. Na zakończenie szkicu tego uważam za odpowiednie nadmienić jako curiosum, iż z pewnego miasta w północnych Niemczech otrzymałem wiadomość, że rzeczywisty Delfin w samej rzeczy zdołał zbiedz z więzienia, i w szeregu przygód różnego rodzaju, wstąpił do trupy aktorów, z którą wyjechał do Petersburga, gdzie otrzymał stałe miejsce. W roku 1844 umarł on podobno w Karlsbadzie, dokąd udał się w zamiarze leczenia. Byłem o tyle ciekawym, iż postarałem się zbadać dalszą nić tej wiadomości, wszystkie starania jednak moje pozwoliły mi zebrać jedynie szereg domysłów, o których dla nie zaszkodzenia następcom „rzeczywistego“ Ludwika XVII, zamilczeć wypada do czasu lepszego zaznajomienia się z „tajemniczą historją“.

NA CZEŚĆ

DON PEDRA KALDERONA DE LA BARCA*)

w dwóchsetną zgonu jego rocznicę

I.

Patrzcie w błękity!... Na złocistym tronie
Najświętsza Boga Rodzica Dziewica
W pokorze jasne pochyliła lica,
A Dziecię Jezus igra na jej łonie;
U stóp mu anioł, tędy i owędy
Biorąc po lutni, wygrywa kolędy.
Aż Dziecię rzecze: «Grałeś mi już wiele,
«I grałeś pięknie, wypocznij aniele!»...
Ucicha anioł, a śpiew nie ustaje.

Przez wszystkie gwiazdy brzmią i wszystkie raje
Hymny, kolędy, hejnały, hozanny,
To na cześć Boga, to Najświętszej Panny,
Jeden drugiemu lutnią anioł zdaje,
Aż ku światłościom, zkąd źrenica Boża
Ogarnia świata bezbrzeżne przestworza.
I płyną pieśni jak ruczaje, rzeki,
Do nieobjętej tam wszechłaski morza —
A raz zagrane, brzmią po wszystkie wieki.

I na tę biedną, chmurną patrzcie ziemię!
Mienią się ludy tu jak barwne wstęgi;
Z nich po kolei Bóg wybiera plemię,
I wieszczów jego w raju wznosi kręgi,
Śród burz żywota otula ich ciszą —
I w niebowzięci w zachwytu godzinie,
Co z anielskiego śpiewania zasłyszą,
Gęśl ich wyśpiewa, albo wdzięcznie spiszą —
I już pieśń taka po wieki nie ginie.

Tęczą pieśń taka od grodu do grodu
I od narodu leci do narodu.
I grozą dzwoni zatwardziałym w pysze,
Hartuje męże i dziatwę kołysze.
A jako rajskim chórom odsłuchana,
Z padołów ziemi powraca do Pana,
Z dziękiem i żalem człowieczego rodu.
I słucha Ojciec na światłości tronie!...
Bądź nam pozdrowion, wieszczu Kalderonie!

II.

I zdał Bóg swoich wyroków koleją
W Twe ręce berło na lądzie i wodzie,
I palmę pieśni, Hiszpański narodzie!...
Z wieżyc Granady Twe krzyże jaśnieją,
Kolebka Cydów wolna już dokoła...
Rzekłeś — świat nowy wstaje z oceanu...
Korzy się Tobie świat stary jak panu...
I gra pieśń Twoja, jak dziecię wesoła —
Rycerska, wzniosła, jak hymn archanioła.

III.

Może śród ludzi, jak w przewrotach ziemi,
Zawrą wulkany, nawalnice, gromy;
I nie zapłacze już żaden Jeremi,
Gdy lud po ludzie, zakon po zakonie
W ciemne, bezkształtne rozsypie się złomy: —
Więc Twój zawoła, wielki Kalderonie,
„Książę Niezłomny“ słowy anielskiemi —
I sztandar zbawczy nad mord i bluźnierstwo
Podniosą: wiara, miłość i rycerstwo.

Błogosławiony! Tyś namaszczeń troje
Z rąk Pana powziął na żywota boje,
Troistym wieńcem skroń Twa przepasana:
Wieńcem żołnierza, poety, kapłana!
Więc z Twej rycerskiej, namaszczonej pieśni
Wielcy, maluczcy, radośni, boleśni
Czerpią otuchę na życia zapasy,
I czerpać będą aż po owe czasy,
Kiedy się żywot naszej ziemi prześni!

Błogosławionyś! Arcypotęg troje
Z swemi sztandary słało Cię na boje:
Bóg, ojczyzna i rodzina!
Giermka ze swego wziąłeś już narodu:
Honor Cydowy. I ruszyłeś z młodu...
Wdzięcznie świat cały boje te wspomina!...

I już nie padną te wzniosłe sztandary
Śród złotych cielców i mar korowodu,
Gdzie Twoja zabrzmi pieśń honoru, wiary!

Błogosławionyś! W Chrystusa wpatrzony,
Co w Kannie bawił się weselem ludzi,
I w swej ojczyzny czarodziejskie strony,
Gdzie lodem błyszczą Syery korony,
A dołem Wega raju wdziękiem łudzi: —
Ty trzęsąc nędzą ludzkiego żywota,
I ku zabawie przygrywałeś rzeszy...
Jak radość dziecka, niechaj brzmi ochota!
Ptak się weseli, niech i człek się cieszy!

Błogosławionyś! Ojczyzna Cię kocha,
Dwóch oceanów rozkoszna pieszczocha,
Gdzie jasność mrokom, gdzie mroki jasności,
Morze brzegowi, brzeg morzu zazdrości;
Kocha Hiszpanka, serdeczna, nie płocha;
Co wrogów prosi w taniec na armaty;
Hiszpan, co w ręku oba dzierżył światy,
Któremu w Andach słały się pod nogi
Potomków Słońca starożytne bogi!

Błogosławionyś! Wielbią Cię rodacy —
Ów lud wesela i rycerskiej pracy —
Rozkoszne Wegi i groźne Syery,
I afrykańskiej Ceuty ostre skały,
I niebotyczne wielbią Kordyliery,
Co w pół obręczą ziemię przepasały;
I dłoń klaszczącą ku Tobie wychyla
Azyjskich woni ogrojec — Manila...
I nie zna ziemia kresu Twojej chwały!

Odbiegli jedni synowie macierzy!
Ledwo się węzeł opieki rozplata,
Już wyzwolony godzi brat na brata!
Ale gdy echo Twej pieśni uderzy,
To każdy słucha, jak gdy dzwon kościoła
Na Anioł Pański wieczorem zawoła;
I wspomni matkę i w krew bratnią wierzy —
I kiedyś bratnie skojarzą się dłonie...
Chwała Twej pieśni, wielki Kalderonie!

Błogosławionyś! Wszelkich ludów rzesza,
Jak gdyby jedna, Hiszpańska rodzina,
I jakby pomnik najdroższego syna
Twoją mogiłę wieńcami obwiesza!
A czciciel złota, co urąga Bogu,
Duma skruszony w Twej mogiły progu,
Że ludzkość wdzięcznie pieśniarza wspomina...
O, pokąd słońce nad tą ziemią płonie,
Cześć Tobie, chwała, wielki Kalderonie!

IV.

Więc cześć i Tobie, poetów macierzy,
I apostołów, bez skazy rycerzy,
I niewiast dzielnych! Blask Twego imienia
Synom Północy ziemię opromienia:
Marzą o kraju, gdzie gitara dzwoni,
Gdzie słowik z palmy śpiewa, to z jabłoni;
I z Twoich dziejów w Boskie wierzą sprawy,
Widząc, że wszystkie zawody, cierpienia —
To mężnym stopnie wolności i sławy.

O, chwała Tobie, Hiszpański narodzie!
Przeszła Twa jesień, i minęła zima,
Wiosna już kwiatów zagląda oczyma,
I nowe słońce świta Ci na na wschodzie;
I z fali Twoje powstaną armady —
I będą ludy czekać Twojej rady —
Bo wolnych mową mowa Kalderona,
Już niewolników nie klną jej gromady,
Wdzięcznie się tuląc do wolności łona!

Potrójna Tobie, Hiszpanio, chwała!
Dawniej Ty grozą światy zdobywała —
Dzisiaj Ty pośród zdobywców jedyna:
Gdzie Twoja wiara, Twoja zabrzmi mowa,
Indjanin w puszcze, w groby się nie chowa;
On błogosławi Ci modłami syna;
Na ziemi Ojców rośnie jak kwiat polny,
Równy z równymi i z wolnymi wolny!!!
Kwitnij po wieki macierzy jedyna!

O, z win obmyta i z ran uleczona,
Jakąż Bóg jeszcze wielkość chowa Tobie!
W dzikiej niewiary i sobkostwa dobie
Ty się gromadzisz u stóp Kalderona,
Na ideału świat zapraszasz gody!
Jak do Olimpji, do Twojej stolicy
Spieszą z palmami ludów wysłannicy —
I czas nastaje jakiś cudny, młody...
I wieki będą wielbić Cię w zawody.

We Lwowie w marcu 1881.

Platon Kostecki.

*) Poemat konkursowy, nagrodzony złotym medalem przez Akademię madrycką.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Byłem w cyrku Krembsera! I doznałem tyle przyjemności (mówię to zupełnie bezinteresownie, bo za bilet zapłaciłem), że poczytuję sobie za obowiązek kronikarskiego sumienia, podzielić się temi wrażeniami z czytelnikiem. Najpierwsze było, że zdawało mi się zdziecinniałem. Dalibóg odżyły wszystkie studenckie wspomnienia, kiedy miałem lat dziesięć i kiedy po raz pierwszy dostałem się do cyrku Renza. Dziwna rzecz, jak też to się od lat czterdziestu nic a nic w tej poważnej umiejętności nie zmieniło. Też same ciężkie i pękate konie, też same woltyżerki w ceglastych trykotach, (zdaje mi się teraz mają trochę krótsze tiuniki) ciż sami poganiacze w pruskich uniformach, nawet taki sam błazen w perkalikowym chałacie z namalowanemi żabami, w spiczastej czapce z fizjognomją zasmarowaną mąką. — Kiedym usiadł, a muzyka zagrała i doleciał mię przyjemny zapach stajni, aż mi się zrobiło lżej. A tu panie program, jakież to bogactwo! Przez obręcze, przez bibułkę, przez rury, na jednej nodze przeskakuje i tańcuje ślicznooka na ceglasto pomalowana panna Eliza, o kształtach niemieckiej bogini, przysadkowata, zażywna. Gromy, oklasków sypią się jakby tysiące praczek bieliznę prało nad wodą, a wszyscy trzymają się za żywoty od śmiechu, gdy szanowny pajac na lewo i na prawo sypie policzki kolegom arenowym, a ci tarzają się po piasku areny, otrzepują z błota i znów ryją nosem tę świętą polską ziemię. Już to co do tych policzków przyznaję, rzecz bardzo ciekawa, a do tego jak się jeszcze przymięsza obsypywanie mąką i chwytanie czapek prosto na głowę, wreszcie odliczanie ręką admonicji w pewne nieszkodliwe miejsca ciała ludzkiego, to przyznacie czytelnicy, dla wykształconego smaku lwowskiego nie może być nic przyjemniejszego. Dziwię się tylko, że policja pozwala na taki grad oklasków; — to niebezpiecznem jest dla cyrku. — Otóż tego braku troskliwości o całość budynku nie pochwalam.

Mała przerwa —- służba układa podłogę na arenie i zaczyna się przepyszny balet z samych nimf o długich ceglastych nogach. Te Niemki to jakieś inne kobiety niż zwyczajni ludzie; gruntownie zbudowane, mają niepospolity wdzięk i w ruchach i uśmiechu i spojrzeniu, które zabija widzów męzkiego rodzaju... Widziałem to, niektórzy rycerze połykali oczami owe tańcujące nimfy. Potem tańcował sam drobiazg na drewnianych nóżkach, dziewczynki zdaje się od piersi, a jak to zbierało pomarańcze zabawnie!...

Przedstawienie zakończyła ślizgawka po deskach, na łyżwach, opatrzonych kółkami. Boże drogi, jakiż to rozkoszny hurkot, co to wypad-

ków przewracania się przez angielską parę — jakież to urocze pozycje przy tem padaniu! Raz Anglik na wierzchu, drugi raz ona, raz wpadają na publiczność za cembrzynę areny, to znów karambolują się niby bilardowe kule, a wszystko bardzo przyzwoicie, daję słowo, o bardzo! A ta rozkoszna szkoła na drewnianym lodzie, a ten nauczyciel obrabiający żaków starą kiełbasą, a te bawełniane kule i znów przewracania, i znów harce i jazda sankami... Dziś nawet czytam, że europejskiej sławy komik pan François, ten sam co w tak mlaszczący sposób policzkuje towarzyszy, ruszył konceptem i ofiarował na swój benefis publiczności lwowskiej żywą, prostą. . .

— Co? — zapytacie.

— Wstydzę się powiedzieć... Ale kto ciekawy niech przeczyta afisz; tak stoi jak byk napisane jak się to nieczyste stworzenie kłapouche nazywa... Tak, tak, pan François ma gust i wie co i komu ofiarować, dla tego, jestem pewny, natłok widzów rozsadzi budę cyrkową. Niech znają Prusacy, że nasi Polacy umieją się znać na rzeczy i że mają do czynienia z wykształconą publicznością, której takiemi błazeństwami jak „Kościuszko pod Racławicami," albo „Kiejstutem" albo „Rozbitkami" złapać nie można. Sam sobie winien p. Miłaszewski. Żal mi go, że niepotrzebnie wydaje pieniądze na opłatę autorów i koszta wystawy nowych sztuk... Ot wprowadziłby błaznów, o których przecie i u nas nie trudno, dałby do rozegrania premium w osobie kłapoucha i miałby teatr nabity... Nie ma innej rady, — trzeba iść z duchem czasu, zaprowadzić balet jeszcze z krótszemi tiunikami — a za dobry rezultat ręczymy.

Zrobiłem drugie spostrzeżenie w tym tygodniu. Nasi żydzi, a raczej Polacy mojżeszowego wyznania, od czasu jak nie dopuściliśmy zabawy z nimi amatorom wszelkiej gimnastyki, zaczynają na serjo myśleć o spolaczeniu... Tak jest nie żartuję — już nie mówią po niemiecku, „Neue Freue Presse" nie prenumerują, na lichwę nie pożyczają, a starych procentów egzekwować nie myślą. Podobno, że do tej zmiany uczuć najbardziej przyczynił się przykład warszawskich żydów, którzy na wezwanie kronikarza „Kurjera warszawskiego", o składki na fundusz kassy pożyczkowej dla rzemieślników, w ciągu pięciu dni złożyli przeszło siedm tysięcy rubli... Tylko cicho, sza... a i u nas coś podobnego nastąpi. Nasi izraelici pomiarkowali, że słownej propagandy patrjotyzmu polskiego już mamy dosyć — i teraz mają dać więcej dotykalny dowód swoich uczuć dla społeczeństwa, wśród którego żyją i nieźle prosperują... — coś, coś chcą zrobić i zawstydzić współwyznawców z Królestwa... Cierpliwości tylko — a maluczko ujrzycie ich...

W końcu wypada nam pocieszyć nieco i kolegów naszych po piórze. Francuzi zaczynają się o nasze powieści dobijać. I tak powieść Uskoki drukowaną jest w fejletonie Monda. Cały Paryż otwiera usta i pyta się kto to jest ten Jeż, są przekonani, że to Francuz... Dalej pani Orzeszkowej za pozwolenie tłomaczenia czterech powieści ofiarowano dwadzieścia pięć tysięcy franków... a za kroniki Tygodnia polskiego, które rozchwytać chcą wszystkie najznakomitsze dzienniki francuskie dają już sto tysięcy franków... Autor się waha jeszcze, bo tu już idzie o honor narodowy „wszystko dla siebie, a nic dla Europy"— takie jest nasze hasło i od niego nie tylko za marne sto tysięcy, ale nawet za miljon nie odstąpimy. Przynajmniej czytelnicy nasi niech wiedzą co redakcja dla ich dobra poświęca...

AUSTRJA, NIEMCY I SŁOWIANIE

UWAGI POLITYCZNE.

(Przekład z rosyjskiego.)

(Ciąg dalszy.)

A Chorwaci? Któż, jeśli nie my, naszemi wiecznemi kazaniami o prawosławiu popchnęliśmy ich na drogę „austrjackiego panslawizmu". A był czas, bardzo niedawny, gdy i oni, jak i reszta Słowian zamyślali oprzeć się na Rossji. I dążność ta była wśród nich tak silną, że poświęciwszy już wiele, weszłych w narodowe użycie właściwości swego języka, ażeby przywrócić tożsamość jego z bardziej czystym słowiańskim językiem serbskim — wiedli z sobą spory, co do tego, czyby nie zamienić na kirylicę swe, obce dla większości Słowian pismo łacińskie. Byłby to krok bardzo ważny, i byliby go uczynili z pewnością, gdyby spotkali z naszej strony choć najmniejszą zachętę; lecz niestety, zachęty tej im odmówiono. Artykuł „Rusi" wskazuje na biskupa Strosmayera, jako na jednego z głównych działaczy w organizacji „austrjackiego panslawizmu." I ma zupełną słuszność. Lecz czy szanowny autor wie o tem, że tenże sam biskup Strosmayer, za lat swych młodych, gdy tylko co wstąpił na arenę publicznego i narodowego życia, szukał związku nie z kim innym, jak tylko z Rosjanami, a do tego ze stronnictwem słowianofilskiem, w osobie przedstawiciela tegoż stronnictwa, protojereja przy wiedeńskiem naszem poselstwie, ojca Rajewskiego naówczas również młodego jeszcze człowieka, i energicznego zwolennika odrodzenia Słowian w Austrji? Jakąż odpowiedź otrzymał on ostatecznie od ojca Rajewskiego? — „Nie, widocznie nie możemy iść razem. Według nas, wszyscy Słowianie muszą być prawosławnymi, nie ma słowiańskości na zewnątrz prawosławia, a pan ciągniesz do rzymskiej kurji." I proszę, nie sądźcie, że powtarzam tu wyrazy biskupa Strosmayera lub którego z blizkich mu rodaków. Najzupełniej nie — mnie opowiadał to, nasz współrodak, a mianowicie sam ojciec Rajewski. Gdym mu oświadczył moje zdziwienie, z powodu tego, według mego zdania tak beztaktownego i interesom słowiańskości wprost przeciwnego postępku, wielebny ojciec i mnie powtórzył toż samo: „Ciągnie do rzymskiej kurji, nie myśli o Słowianach." To więc Strosmayer nie myśli o Słowianach, człowiek, który cały swój żywot oddał narodowej pracy, który dźwignął własnem usiłowaniem, a poczęści i własnym kosztem całą oświatę narodową Chorwacji, poczynając od szkół ludowych aż do uniwersytetu w Zagrzebiu, założył muzeum, różne stowarzyszenia a nawet dotąd oddaje na to wszystko ośm dziesiątych części swego olbrzymiego dochodu! „Nie myśli o Słowianach" on, który zbawił Chorwatów od grożącej im germanizacji i wywołał żywy prąd narodowego życia nawet wśród zupełnie już zniemczonej, albo zmadjarowanej arystokracji. Co się zaś dotyczy do „ciągnie do rzymskiej kurji", to właśnie ojciec Rajewski, w przedstawicielach madjarskiego duchowieństwa, miał przed oczami uderzający przykład, że katolicka duchowna hierarchia, może być głęboko katolicką a nie ciągnąć do kurji, i nie dopuszczać najmniejszego jej wpływu, gdy rzecz dotyczy interesów narodowych — jemu więc mniej niż komu innemu wypadało powtarzać ten frazes. On jednakże go powtarzał i teraz powtarza, i ciągle odpycha od siebie i od Rosji wszystkich nieprawosławnych Słowian, czem rozumie się, bezwiednie pomaga Austrji. Rząd austrjacki, nie pojmujący jeszcze podówczas prawdziwego swego interesu, był bardzo oburzony jego działalnością, a nawet kilka lat temu żądał odwołania go z Wiednia. Teraz by tego z pewnością nie zrobił, owszem radby był bardzo, gdyby szanowny ojciec wznowił z dawną energją swą propagandę prawosławia...

I na Chorwatów znakomity list p. Aksakowa również wpływ swój wywarł. Zdarzyło mi się właśnie, wkrótce po ukazaniu się tego listu, być w Peszcie, gdzie wówczas zgromadzili się chorwaccy deputowani węgierskiego parlamentu. Często widywałem się z nimi i rozmawiałem, i nie było ani jednego, któryby mi nie wskazał na ów list i niewyraził zarazem swego zdziwienia i ubolewania. A my nieprawosławni Słowianie, — mówili do mnie naprzykład pp. Miszkalowicz i Mrazowicz, dwóch najbardziej wpływowych ludzi w Chorwacji, (pierwszy wydawca i redaktor gazety „Obzor", a drugi dzisiejszy prezydent m. Zagrzebia), my, gdzie mamy się podziać, jaki nas los czeka? Dla nas więc, zjednoczenie Słowian byłoby zgubą, gdyż nie możemy i nie chcemy zmieniać swej wiary?" „My kochamy Rosję, — mówił z swej strony znany, zapalony slawista, p. Kukuljewicz, kochamy Słowian i nie możemy ich nie kochać dla tego, że, niech tam sobie co chce mówi p. Aksakow, jesteśmy Słowianami i Słowianami pozostaniemy, chociaż my katolicy; lecz cóż mamy robić, gdy sama Rosja nie chce nas znać inaczej, jak pod warunkiem, ażebyśmy się stali zdrajcami naszej wiary? Jest to niemożliwem, a więc... Smutna rzecz, bardzo smutna. Małoż jeszcze Słowianie mają przedmiotów do sporu, ażeby jeszcze wznawiać tak strasznie brzmiącą w dzisiejszych czasach kwestję wyznaniową".

Nawet Słowacy, to nieszczęśliwe, prawie pozbawione inteligencji plemie, i ci wiedzą o naszej teorji prawosławia i o liście p. Aksakowa. I od nich nawet nieraz słyszałem: „Słowianie my, to prawda, Słowianie, ale my nie prawosławni, nam Rosjanie nie pomogą." Ci przecież nie z książek i nie zgazet dowiedzieli się o tem wszystkiem, — im mogli to powiedzieć ci, w czyim interesie leży zabicie wszelkiego śladu sympatji do Rosji; lecz czyż można się dziwić temu i oburzać się na to? Cóż może być naturalniejszego, że wrogowie nasi, którym my sami ukuliśmy i dobrodusznie włożyli w rękę broń, korzystają z niej przeciwko nam? Na ich miejscu zrobilibyśmy to samo.

Ale Czesi, Polacy, Chorwaci, Słowaki wszystko to są plemiona nieprawosławne; a jest plemie bez wątpienia słowiańskie, nawet cieszące się, nie wiem dla czego szczególną u nas sympatją i prawosławne — któremu również jest wstrętną nasza teorja tożsamości słowiańskości z prawosławiem. To plemie — Bułgarzy. Im nigdy w ciągu całej ich historji nie zdarzało się mieć stosunków z Niemcami, i nie ze słyszenia tylko

ale z doświadczenia poznać co to jest Niemiec; dla tego też oni dość obojętnie, nawet przyjacielsko odnoszą się do tych nieprawosławnych wrogów Słowian. Lecz za to wiedzą oni dobrze, co to są prawosławni Grecy, te okrutne i podstępne wrogi Bułgarów, których ucisk cięży nad nimi od chwili zjawienia się ich na Bałkańskim półwyspie i nawet podczas tureckiego panowania gniótł ich bez porównania bardziej, aniżeli jarzmo tureckie. Czyż może komu przyjść do głowy fantastyczna myśl, iż Bułgarzy mogą kiedykolwiek uwierzyć, że ta sama religja, do której należą ich przeklęte wrogi, Grecy, stanowią jedyną oznakę słowiańskości i że oni sami, Bułgarzy, dla tego tylko są Słowianami, że prawosławni! Toleranci a nawet obojętni w kwestjach wiary, z przyczyny i z natury rzeczy, jaka powoli wyrobiła się u wszystkich narodów zostających pod panowaniem tureckiem, Bułgarzy tak mało widzą dla siebie wagi w prawosławiu, że najzupełniej nie troszczą się „smutnem położeniem prawosławnej cerkwi na wschodzie, i wcale nie dążą do tego, ażeby ich cerkiew bułgarska zlała się z innemi miejscowemi prawosławnemi cerkwiami“, ani też do tego, „ażeby przywrócić zewnętrzny spokój w łonie prawosławnego kościoła i przyłączyć do niego cerkiew bułgarską,“ co z takim zapałem radzi im p. Aksakow w tymże samem numerze „Rusi“, w artykule „Nieporozumienie między władzą duchowną a ministrem wyznań w księstwie Bułgarskiem.“ Nie dążą zaś do tego Bułgarzy właściwie z tej przyczyny, że „zlanie się z innemi miejscowemi cerkwiami“, znaczy duchowy związek z Grekami i poddanie się hegemonji powszechnego patrjarchatu, a tego to właśnie Bułgarzy nie chcą. I napróżno redaktor „Rusi“ myśli, że „to nastąpiło dla tego, iż p. Cankow, (były minister), wychowany w Europie, utraciwszy duchową łączność ze swoim narodem, zamyślał działać na zasadzie oderwanych teoryj“ i że „w prawosławnym świecie nie istnieje stronnictwo klerykalne“. Po pierwsze, w prawosławnym świecie istnieje przynajmniej jedno klerykalne stronnictwo, gdyż jak inaczej nazwać konstanynopolitański „Fanar“, którego nienawidzą sami nawet Grecy, mieszkający w Królestwie, a cóż dopiero Bułgarzy, którzy tak strasznie wiele ucierpieli od Fanarjotów i nie mogą wątpić o istnieniu tego bardzo silnego i nie gorzej od jezuitów zorganizowanego stronnictwa. Po drugie, postępek p. Cankowa wcale nie znamionuje braku w nim duchowej łączności ze swoim narodem. Przeciwnie, możnaby powiedzieć, że w tym razie był on właśnie wykonawcą dążeń i pragnień bułgarskiego ludu. Naród ten swego duchowieństwa nie lubi i nie chce dopuścić mięszania się jego do spraw państwa i ogółu, gdy ono tymczasem, przy wyborach do zgromadzenia narodowego, bardzo wyraźnie i czem dalej, tem wyraźniej, objawia dążenie do takiego mięszania się. Gdyby przedmiotem mego artykułu byli specjalnie Bułgarzy, mógłbym to dowieść faktami, lecz na teraz, nie ma tego potrzeby. Dość powtórzyć, że Bułgarzy z natury rzeczy, z przyczyn historycznych i z powodu osobistych swoich skłonności, nie widzą i nigdy nie mogą widzieć w prawosławiu czegoś organicznie i nierozerwalnie związanego ze słowiańskością. Co zaś dotyczy do „Wschodniej cywilizacji“, która niby to warunkuje się prawosławiem, to pojęcie to, znowuż obcem jest najzupełniej dla Bułgarów a nawet nie dla nich samych, bo i dla Serbów. Obydwa te prawosławne słowiańskie narody, szczególniej zaś Bułgarzy, mają silne dążenie do cywilizacji w ogóle, a nie do specjalnie wschodniej, której samo istnienie jest dla nich jeszcze niejasne. U nich, lud prosty nie ma jeszcze o tem żadnego pojęcia, a w sferze nielicznej inteligencji ustaliło się bardziej zdanie, że cywilizacja jest na świecie jedna, ogólno-ludzka; że na Zachodzie cywilizacja taka jest, a na Wschodzie jej nie ma i dla tego trzeba się starać jak najprędzej ją nabyć, używając sił narodowych właśnie na to nabycie, a nie na wymyślanie nowych, nigdzie niewidzianych i doniczego istniejącego niepodobnych form cywilizacyjnych. I takiej opinji trzymają się nietylko Bułgarzy wychowani w Europie Zachodniej; właśnie rozprzestrzeniła się ona wśród tych, którzy odebrali wychowanie i wykształcenie u nas, w Rosji. Dla czego jest tak, nie tu miejsce na wyjaśnienia, dość że tak jest.

(Dokończenie nastąpi.)

KRONIKA NAUKOWA.

(Nowe badania nad pitchoury, rośliną mogącą zastąpić tytoń. Strychnina jako lekarstwo przeciw pijaństwu. Otrucie kołnierzykami z papieru).

Kilka lat temu zwrócono uwagę na roślinę, nazywaną *pikuri* albo *pitchoury,* właściwą Australji zachodniej. Obecnie doszły do Europy nowe badania nad tą rośliną, która obdarzoną jest własnościami narkotycznemi i którą krajowcy prowincji Queenslandu, próbują używać zamiast tytoniu.

Pitchoury, którą nazywają także *bidgory,* rośnie głównie na granicach prowincji Queenslandu i Australji południowej, między 23 a 24 stopniem szerokości. Wielkie jej ilości znajdują się na wzgórzach piaszczystych, gdzie dochodzi 30 centimetrów wysokości.

Liść ma długi na 8 do 10 centim.; kwiat dzwoneczkowaty, koloru wosku, z czerwonemi prążkami. Co roku, krajowcy zbierają liście w miesiącu sierpniu, podczas kwitnienia, i suszą je za pomocą pary; następnie pakują w worki konopne, i puszczają w handel.

Ażeby uczynić przydatnemi do użytku, handlujący liście zwilżają, mięszają z popiołem i zwijają na kształt cygar, które krajowcy lubią żuć. Skutek tych cygar jest taki, że żując pewną ich ilość, wpada się w nieczułość zupełną.

Brane w małych ilościach, liście tej rośliny wywierają skutek podobny napojom upajającym. Używane umiarkowanie, uśmierzają głód, i pozwalają przedsiębrać długie podróże bez wielkiego zmęczenia i bez potrzeby silnego pożywienia. Pod tym względem roślina ta podobną jest do *coco* Ameryki południowej, z której europejska medycyna ciągnie już pewne korzyści.

Pitchoury należy, jak i tytoń, do rodziny psiankowatych. Australijscy botanicy zajmują się obecnie ściślejszem jeszcze oznaczeniem jej przymiotów i własności.

* * *

W Niemczech leczą pijaków tak, jak gdyby byli rzeczywiście chorymi. Żywią ich przez kilka dni wyłącznie pokarmami przesiąkłemi alkoholem. Dochodzą w ten sposób do tego, że napawają chorych takim wstrętem do tego płynu, iż ci w końcu nie mogą go zupełnie znosić i odtrącają od siebie wszelki napój alkoholiczny.

We Francji, w Reims, dr. Luton wynalazł sposób zniweczenia smutnych następstw pijaństwa, nie zajmując się samym występkiem. Ci, którzy ulegają temu zgubnemu nałogowi, będą mogli upijać się nawet codziennie, jeżeli zechcą, bez obawy zakończenia życia w jakim domu przytułku lub szpitalu.

Dr. Luton odkrył, że strychnina jest niejako antydotem alkoholu. Osobistości doknięte strasznem delirium tremens, mogą być przywrócone do zdrowia i życia dzięki strychninie.

Strychnina, alkaloid otrzymywany z rośliny zwanej wronie oko., jest nadzwyczaj gwałtowną trucizną. Dr. Luton, chcąc zniszczyć skutki alkoholu, zapisywał dozy strychniny o wiele silniejsze niż dają zazwyczaj chorym, i w wielkiej liczbie wypadków powiodło mu się.

Radzi on osobom żyjącym wśród wyziewów alkoholicznych, ściągającym wina do beczek, dystylatorom, kupcom win, a jednocześnie pijakom którzy uczują początek choroby, brak apetytu, bezsenność, drżenie, itd. zażywanie codzienne kilku kropel płynu zawierającego strychninę lub naparu wroniego oka, w kieliszku wina, przed każdem jedzeniem. Tym sposobem kładzie się antydot obok trucizny.

* * *

Od dziesięciu lat fabrykacja kołnierzyków i mankietów papierowych rozwinęła się znacznie, zwłaszcza w Ameryce. Pochodzi to z powodu, że noszenie tych przedmiotów stanowi niezaprzeczoną oszczędność. Oprócz tego, że papierowa bielizna posiada więcej glansu i świeżości niż bielizna prawdziwa, kosztuje ona zaledwie tyle, co pranie bielizny płóciennej lub bawełnianej.. ›

Jednakże jest plama na obrazie. Oto bielizna papierowa zawdzięcza swój blask, trwałość, i sztywność, przygotowaniu, do którego wchodzi arszenik.

W 1880 r. dr. Adams, w Londynie, skonstatował u jednego ze swych klientów oznaki otrucia arszenikiem. Po długich, nadaremnych poszukiwaniach wpadł na pomysł poddania chemicznemu rozbiorowi kołnierzyków papierowych, których używał jego pacjent, i przekonał się, nie bez zdziwienia, że kołnierzyki te zawierały silną dozę arszeniku.

Przestroga dla amatorów!

TEATR.

Czteroaktowa, oryginalnie napisana komedja J. Blizińskiego *Rozbitki,* której od dawna oczekiwaliśmy już z upragnieniem, ukazała się nareszcie na naszej scenie dnia 31. z. m.

Jak się tego należało spodziewać, jest to utwór o wiele przerastający swą miarą wszystkie inne płody współczesnej naszej muzy dramatycznej, noszącej dość widoczne znamiona gonienia za pozornymi efektami, pisany z wyraźnie wytkniętym celem, z wielką znajomością naszego społeczeństwa i z prawdziwym talentem. Interesującego wątku do powyższej sztuki dostarczyły autorowi tym razem sfery zrujnowanego obywatelswa wiejskiego, owe prawdziwe „rozbitki“ po dawnej świetności rodu i majątku.

Przedstawicielami tych sfer jest rodzina Czarnoskalskich, usiłująca za pomocą korzystnych związków małżeńskich, chociażby nawet ze spanoszonymi parwenjuszami, ratować resztki upadającej fortuny. Kolizja zatem rodowych uprzedzeń z interesem stworzyła kanwę, po której autor rozsypał mnóstwo wybornych, w wysokim stopniu prawdziwych typów. Atoli mimo tak wielu zalet, mimo tak szczęśliwego ujęcia pomysłu, nie widać w najnowszej sztuce p. Blizińskiego wszechstronnego potęgowania się jego twórczej siły, gdyż całość wypadła pod niejednym względem słabiej niż wyborny *Pan Damazy*. Braki dają się czuć przedewszystkiem w scenicznej architektonice. Najnowszy utwór Blizińskiego chroma zwłaszcza pod względem leniwej akcji aktu pierwszego i czwartego, maskowanej zbyt rozwlekłymi nieraz djalogami, a gdzieniegdzie też pod względem pewnej nieporadności scenicznej, która każe uciekać się do środeczków zbyt błahych, aby się niemi posługiwały ręce tak utalentowanego autora, jakim jest pan Bliziński. Do takich zaś zaliczamy np. zbyt pobieżne tylko umotywowanie stosunku miłosnego między Maurycym a Polą, za pośrednictwem zgubionej przypadkowo fotografii, dość zużyte już na deskach teatralnych opowiadanie Gabrjeli o śnie złowieszczym i niektóre sytuację objaśniające monologi, które, zastąpione żywą rozmową, nadałyby sztuce niedostającej właśnie akcji.

Byłoby to o tyle pożądańszem, o ile autor w prowadzeniu djalogu nie tylko żadnych nie napotyka trudności, lecz owszem za wzór mógłby nawet posłużyć w tym kierunku. Djalog jego rozwija się lekko i naturalnie, dowcip jego elegancki, płynący zawsze z sytuacji lub zdarzonej gry słów, a nigdy gwałtem nie naciągany, jak u niektórych naszych pseudo-spółek literacko dramatycznych. Najlepszą stroną *Rozbitków* jest bezsprzecznie wyborny, z natury wiernie kopiowany rysunek charakterów, a celuje pod tym względem postać rzekomego „hrabiego", arystokratycznego pasożyta, który w burzliwem życiu materjalnie wszystko stracił a moralnie nic nie zyskał. Typ owego *cheval de bataille* rzeczonej komedji byłby istotnie skończony, gdyby tylko autor był zechciał nie stawiać niektórych rysów w zbyt jaskrawem świetle. Ta intenzywność oświetlenia razi zwłaszcza w 3. akcie w rozmowie hrabiego z podchmielonym Straszem; obeszłoby się było bez owych uzupełniających rysów charakteru, włożonych w usta Strasza, których się każdy z łatwością domyśla, a nie uroniłoby się nic z owej dystynkcji, jaką zawsze wyróżniały się tak pochlebnie utwory pana Blizińskiego. Wszystkie zresztą inne typy, chociażby nawet tylko epizodycznie wprowadzone, są nakreślone z wielką prawdą i niepospolitą zręcznością. Po dość rozwlekłym akcie pierwszym, rzecz rozwija się prawidłowo i bardzo pomyślnie w akcie drugim i trzecim, które są najlepsze, traci jednakże znów nabytą chyżość i polot w akcie czwartym, wykazującym podobne braki jak akt pierwszy.

Mimo to wszystko nie wątpimy, iż sztuka ta, zwłaszcza przy tak dobrej obsadzie pierwszorzędnemi naszemi siłami, długo utrzyma się w repertoarze, i że każdy widz o wybredniejszym smaku bardzo miłe wyniesie z niej wrażenie.

R. St.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Stiche Czesław*. Davos am. Platz i inne znaczniejsze stacje klimatyczne Szwajcarji ze względu na leczenie chorób płucnych pod wpływem górskiego klimatu, 8-ka, str. 40. Warszawa 1881. 1 zł 10 ct.

— *Suligowski Adolf*. O prawie asystencji męża. 8-ka, str. 51. Warszawa 1881 45 ct.

— *Szumlańska Paulina*. Skrzętna gospodyni. Przepisy przyrządzania różnych potraw tanio i smacznie, na podstawie długoletniego doświadczenia ułożone. 8ka str. 342. Warszawa 1881 1 zł. 50 ct.

— *Szymanowski Wacław*. Posąg, dramat w trzech aktach. 8ka, str. 93. Warszawa 1881. 60 ct.

— *Wiseman kardynał*. Lampa w przybytku pańskim, przekład Juljana Horaina. 16ka, str. 69. Wilno 1881. 45 ct.

— *Wiśniewska Józefa*. O oszczędności i gospodarności kobiecej. 8ka, str. 51. Konin 1881. 60 ct.

— *W pogoni za koroną*. Powieść pierwsza. Na dworze Padyszacha (z pierwszej połowy XVIII wieku). 8ka, str. 322. Warszawa 1881. 1 zł. 10 ct.

— *Zaleska M. J.* Listki i Ziarnka. Powiastki, opowiadania i rozmówki zawierające najpotrzebniejsze wiadomości do pojęcia dzieci zastosowane. Wydanie drugie z 8 rycinami kolorowanemi, 8ka, str. 305. Warszawa 1881. kartonowane 1. zł. 80 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Kraków-Zagrzebiowi*. Myśl wspomożenia nieszczęśliwych Zagrzebian datkiem literackim urodziła się jednocześnie we Lwowie i w Krakowie, ale o wiele później przyszła do skutku w grodzie Kraka, niż w grodzie Lwa. Przyczyną tego jest zapewne, że album krakowskie ma dużo rysunków, i kilka utworów muzycznych, których lwowskie wcale nie miało. W ogóle stara się być podobnem to wydawnictwo do protoplasty wszystkich wydawnictw tego rodzaju, do paryskiego „Paris-Murcie." Między imionami artystów, którzy wzięli udział w albumie podwawelskiem, świecą imiona Matejki i Kossaka, który dał bardzo piękną winietę do albumu. Z innych rysunków zwraca na siebie szczególną uwagę Benedyktowicza wyborna, typowa głowa jakiegoś Maćka i „Chata za wsią" Michała Pociechy. Wierszy w albumie moc wielka. Na pierwszem miejscu wśród winiety umieszczono piękny wiersz Asnyka, dalej można się spotkać z nazwiskami Deotymy, Wacława Szymanowskiego, Wiktora Tissot, Kazimiera Bartoszewicza, Ludwika Kozłowskiego etc. etc. Do ciekawych aforyzmów należą bezwątpienia aforyzmy pp. Estreichera i Pawlikowskiego. Zresztą czytelniku co tu długo gadać; jeżeli chcesz wesprzeć Zagrzebian, kup sobie to album, a zaspokoisz najlepiej swoją ciekawość.

*** Na ostatniem XXVII posiedzeniu „Koła literackiego" p. Władysław Kozłowski mówił o głośnem w naukowym świecie dziele p. t. „Pessimism a history and a criticism, by James Sally." Następne posiedzenie „Koła" odbędzie się w Piątek, dnia 10 b. m.

*** P. Wład. Wacł. Lech zawiadamia, że wydawnictwo „Kroniki słowiańskiej" przeniesionem zostało z Bielska do Wiednia, a to z powodu, że w stolicy tej jest łatwość o stosunki dla czasopisma takiego pożądane, oraz znajdują się obficie nagromadzone źródła i materjały konieczne do tego, aby wydawnictwo rzeczywiście dobrem być mogło. Głównym współpracownikiem „Kroniki słowiańskiej" będzie znany polski publicysta p. Grzegorz Smólski, współpracownik dziennika „Tribüne."

*** „Porosty galicyjskie", rzecz profesora Władysława Boberskiego, drukowana w „Przyrodniku", wyszła w oddzielnej odbitce. Jest to piękny i pożyteczny przyczynek do naszej przyrodniczej literatury.

*** Rodzina Scherrów znaną jest w Niemczech od początku bieżącego wieku.

Dwaj bracia Tomasz oraz Jan i żona tegoż położyli znakomite zasługi na polu pedagogiki tudzież historji.

Firma Gebethnera i Wolffa ogłasza właśnie pomnikowe dzieło dra Jana Scherr'a: »*Allgemeine Geschichte der Literatur*« w przekładzie Bronisława Zawadzkiego.

Książka ukaże się w dwóch tomach i obejmie rozwój piśmienniczy od zarania dziejów ludzkości na Wschodzie aż do chwili obecnej, tak, iż fakta z roku bieżącego pomieszczone w niej będą.

Zdaje się, iż wyjaśnienie doniosłości podobnego zbioru byłoby zbytecznem przy względzie, że autor jest znakomity a literaturze naszej brakuje tej treści podręcznika.

Społeczne i ekonomiczne.

*** „XV-te walne zgromadzenie Towarzystwa pedagogicznego, odbędzie się w tym roku w Krakowie d. 18. 19. i 20. lipca. Członkowie Towarzystwa pedagogicznego, chcący wziąć udział w tem zgromadzeniu raczą się zgłosić do Zarządu tego oddziału, do którego należą, składając kwotę udziałową 1 zł. 50 ct. Członkowie należący do oddziału lwowskiego zgłaszać się mają bezpośrednio do Zarządu głównego (plac Marjacki l. 9 I. piętro).

Z dniem 30-go czerwca r. b. lista uczestników będzie zamknięta, a późniejsze zgłoszenia się nie będą mogły być uwzględnione. Zarząd główny rozeszle uczestnikom zjazdu w pierwszych dniach lipca r. b., karty uczestnictwa, legitymacją dla kolei i szczegółową informacją.

Program zjazdu ogłoszony był w nr. 19 „Szkoły", a porządek dzienny walnego zgromadzenia ogłoszony zostanie na dwa tygodnie przed zjazdem w dziennikach publicznych".

Z Zarządu głównego Tow. pedagog.

*** Pisma codzienne ogłaszają sprawozdanie z czynności „Koła polskiego w Pradze" od dnia 10. stycznia do dnia 10. maja r. 1881.

*** W Londynie odbyło się zgromadzenie komitetu międzynarodowego stowarzyszenia zwolenników sądu rozjemczego i pokoju; postanowiono zwołanie międzynarodowej konferencji do Paryża na jesień, na którą zaproszeni zostaną wszyscy przyjaciele sądu rozjemczego i pokoju.

*** W Paryżu utworzył się komitet z dwunastu członków pod przewodnictwem Ludwika Blanca, mający na celu wzniesienie pomnika na jednym z placów sędziwemu poecie Wiktorowi Hugo; środki uzyskane będą drogą składek publicznych.

Z Drukarni „Gazety Narodowej"

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.